Styczeń 2018

MAMMUTHUS MONTANUS

ssp. harnasiensis

235

PODORGAN MAMUTÓW SKPG „HARNASIE"

50-LECIE HARNASI W MROWISKU

16 stycznia 2018 r. w Sali Teatralnej Centrum Kultury Studenckiej „Mrowisko" w Gliwicach odbyły się oficjalne obchody 50-lecia istnienia SKPG „Harnasie". W uroczystości wzięło udział około 100 osób, w tym przedstawiciele władz Politechniki Śląskiej, Harnasie-profesorzy Politechniki, przedstawiciele władz miasta – p. Andrzej Karasiński, delegacje z: SKPB Katowice, organizacji studenckich Politechniki, AKT „Watra", Oddziału Uczelnianego PTTK oraz Wiceprzewodniczący Samorządu Przewodników Turystycznych Województwa p. Witold Brol. Uroczystość poprowadzili: Patrycja Michałowicz i Jacek Przyłucki. W ramach wydarzenia prowadzący przypomnieli pokrótce historię Koła. Gratulacje z okazji okrągłego jubileuszu przekazali: Prodziekan ds. Studenckich i Kształcenia prof. dr hab. inż. Tomasz Trawiński, były Rektor Politechniki prof. dr hab. inż. Andrzej Karbownik (blacha nr 34) oraz panowie Witold Brol i Andrzej Karasiński. Na koniec głos zabrała prezes SKPG Harnasie Patrycja Michałowicz.

Całość wydarzenia uświetnił koncert Marka Andrzejewskiego oraz wspaniały tort autorstwa Helci Suchodolskiej o kolosalnych wymiarach 1,2 x 0,6 m. Jeszcze długo po zakończeniu oficjalnej części obchodów w kuluarach toczyły się rozmowy przy torcie, kawie i herbacie.

Patrycja Michałowicz

PRZEJŚCIE KONDYCYJNE 2018

5–6.01.2018

Trasa: Węgierska Górka – schron bojowy Waligóra – Barański Groń – Barania Góra – Karolówka (bez szlaku) – Tyniok – przeł. Koniakowska – Koczy Zamek – Złamane – Skalanka – Laliki – Sól (pociągiem) – Łysica – Burów Groń – Sobański Groń – trawers Oźnej – dolina Radeckiego Potoku – SSM w Rycerce Górnej Kolonii (autem).

Ania Latusek

W sumie było nas ośmioro – pięcioro kursantów: Róża, Marlena, Krzysiek, Darek i Jacek, jedna osoba towarzysząca: Michał i dwoje Harnasi: ja i Metzger.

Przez trudniejsze i zimniejsze pół drogi szliśmy w pełnym składzie, przez drugie pół – cieplejsze, ale coraz bardziej senne – ubożsi o dwie kursantki. To więcej niż dozwolone 10% strat, nad czym bardzo ubolewaliśmy, ale mimo żalu marsz trzeba było kontynuować.

Pogoda nocą dopisała: wiało, brodziliśmy w śniegu i była mgła, a nawet zrobiło się dość chłodno. W dzień było łatwiej, bo się rozpogodziło. Ale to dobrze. Dzięki temu w ciągu jednego wyjazdu doświadczyliśmy kilku pór roku.

Nie sposób nie pochwalić naszych kursantów – przez prawie 24 godziny marszu niemal wcale się nie gubiliśmy, a i towarzysko było bardzo przyjemnie. Więcej, po powrocie do domu dowiedzieliśmy się, że idący z nami Michał postanowił zapisać się na ruszający lada moment nowy kurs Ewy i Dagmary.

Pozostaje tylko się cieszyć i mobilizować wszystkich kursantów kolejnych lat do wzięcia udziału w harnasiowych przejściach kondycyjnych.

Darek Paździorek

Sobota po 21.30. Koniec. Wreszcie koniec. Siedzę przy stole, jem kolację. Za chwilę zdejmę buty, pójdę pod prysznic i zapakuję się do śpiwora. Dlaczego tak prozaiczne czynności cieszą tak bardzo? Aby odpowiedzieć na to pytanie, muszę się cofnąć w czasie. Piątek przed 19.00. Siedzę na dworcu w Katowicach, czekam na początek przejścia kondycyjnego. W sześcioosobowym składzie poznajemy prowadzących wyjazd Anię i Piotrka. Kupujemy bilety. Pierwsza tajemnica rozwiązana. Jedziemy pociągiem. Nie wiemy, gdzie wysiadamy, to sekret. Taki to wyjazd, jedna wielka niewiadoma. Nie lubię tajemnic. Dostosowuję się jednak do konwencji. Co ma być, to będzie. Wysiadamy w Węgierskiej Górce. Pierwszy prowadzi Krzysztof. Idziemy do schronu Waligóra. Następnie Jacek chce nas wprowadzić na górę Żurek. Żarek. Zły znak, początek a już myślę o jedzeniu. Nie zdobywamy szczytu, siły oszczędzamy na dalszą trasę. Idziemy na Baranią Górę, zmieniam na prowadzeniu Różę. Na Barańskim Groniu po raz pierwszy odczuwam, że jest styczeń. Zimno, wiatr, mgła i brnięcie w śniegu. Podczas prowadzenia Marleny na Karolówkę dopada mnie i Różę głupawka. Ona zapada się w śniegu, ja mimo swojej o wiele większej masy nie. 5.10 dzwoni budzik w moim telefonie. To przypomina mi, że nie śpię od 24 godzin. Dziewczyny dopada kryzys. Tuż po wschodzie słońca, na Tynioku, opuszczają nas. Jadło i panoramka na Koczym Zamku. Kolejny cel – Skalanka. Nie ta, o której myślicie. Po drodze spotykamy kobietę, która ostrzega nas przed tym miejscem. Mimo braków sprzętowych ruszamy na ten siedmiusetmetrowy szczyt. W wytyczaniu drogi pomaga nam pies, który podąża z nami aż na stację w Lalikach. Przejazd pociągiem do Soli. Tam zapada decyzja o zdobyciu kolejnych siedmiosetników. Dlaczego 700 m? Dlaczego to było takie ważne? Nie mam pojęcia. Na Sobańskim Groniu dopada nas noc. Mam kryzys. Cieszę się, że zboczami Oźnej prowadzi Krzyś. Ja nie ogarniam. Szafa idzie bez czołówki. Różne pokraczne pozy, jakie przybiera, próbując spać na stojąco w trakcie postojów, są niepokojące. Prowadzę jeszcze odcinek do drogi asfaltowej, na szczęście niewymagający myślenia. Na drodze do Rycerki Górnej pojawia się wybawienie. Ma postać kobiety. Marysia dowozi nas do Rycerki Kolonii.

Sobota po 21.30. Siedzę przy stole, jem kolację. Jestem zmęczony, znużony, brudny i śmierdzę. Ponadto będę miał odcisk na lewej stopie. Czy było warto? Odpowiedź może być tylko jedna. Zdecydowanie tak.

Róża Myrcik

W nocy z 5 na 6.01 rozpoczął się nasz wyjazd kondycyjny. Około 21.30 wysiedliśmy z pociągu w Węgierskiej Górce i rozpoczęliśmy nasz wyjazd. Około godziny 3–4 nad ranem doszliśmy na Baranią

cd. str. 2

Górę, pozaszlakowo, w śniegu, nawet przez chwilę idąc potokiem, przy narastającym wietrze. Następnie udaliśmy się dalej. Co chwilę zapadałam się w śniegu, co nie będę ukrywać, bardzo mnie bawiło, a ze względu na coraz większe zmęczenie i przemoczenie, szczególnie stóp (śnieg wpadał mi wszędzie), jeszcze bardziej chciało mi się śmiać.

Niestety około 8 rano stwierdziłyśmy z koleżanką, że nie damy rady dojść do końca i iść jeszcze 12 godzin. Nawet nie chodziło o zmęczenie, którego wtedy nie czułam za bardzo, ale o rzeczy, szczególnie buty, które miałam przemoczone do suchej nitki i stopy, mówiąc kolokwialnie „odpadały mi". Uczestniczyłam już w nocnych wyjazdach, nigdy nie było mi jednak dane iść zimą i w takich warunkach. Niestety nie doszłam do końca, o 9.50 wyjechałyśmy z koleżanką autobusem w kierunku Ustronia i dalej Katowic.

Każdy wyjazd, szczególnie w góry, czegoś uczy. Ten szczególnie, gdzie idzie się nocą, bez szlaku, w śniegu po kolana. Tego, że do gór trzeba mieć ogromny szacunek i pokorę.

Krzysztof Leja

Przejście kondycyjne oczami Zielonego:

Cóż, wiele osób przedstawiało ten wypad jako nie wiadomo jak trudny, ważny, inny od wszystkich itp. Z mojej perspektywy prawda okazała się inna. Był to po prostu kolejny wyjazd kursowy, na którym było więcej czasu na naukę, no i zakończony wspaniałą kolacją i koncertem muzyki na żywo. Jeśli takie atrakcje czekają na mecie, to ja tak mogę co wyjazd albo przynajmniej raz w miesiącu.

Na tle innych podobnej długości akcji w terenie ta klasyfikuje się w środku stawki – bywało znacznie ciekawiej i bardziej ekstremalnie, ale bywało też nudniej. Największym zaskoczeniem wyjazdu, jakie mnie spotkało, był poziom tajemnicy tego, gdzie jedziemy, a ściślej to, jak bardzo prowadzący starali się nas zmylić i jak bardzo przeżywali, że praktycznie nikogo z nas nie interesował cel tej podróży. Okazało się, że dla tego kursu najważniejsza jest droga, a nie jej cel. Co chwilami było bardzo zabawne. Nie do końca rozumiem, dlaczego Harnasie mają w zwyczaju robić tak dużą tajemnicę z celu podróży przejścia kondycyjnego. Faktem jednak pozostaje, że nie znając celu tej wyprawy, nie mieliśmy żadnego obciążenia typu: „Tak daleko jeszcze mamy do celu, a tak mało czasu zostało". W mojej opinii taka metoda była dla nas jako kursantów znaczną taryfą ulgową względem prowadzących, którzy mieli pojęcie, gdzie jesteśmy i ile jeszcze musimy przejść, co najlepiej było widać w okolicach Oźnej, gdy próbowaliśmy znaleźć zasypaną drogę, nocą na rozległej polanie.

Właściwie jedyną rzeczą, na której się zawiodłem, było zachowanie naszych kursantek, które z minuty na minutę zmieniły swoje nastawienie – przestały się śmiać i podjęły decyzję o przerwaniu marszu około połowy czasu, mając jednocześnie za sobą najtrudniejszy odcinek. Wydaje mi się, że zadziałała tutaj psychika, czego bardzo żałuję, bo spokojnie byłyby w stanie ukończyć przejście. Rezygnacja dziewczyn spowodowała stratę aż 40% stanu osobowego kursantów, a 25% ogólnej liczby. Na szczęście honor płci pięknej uratowała prowadząca Ania. Na koniec chciałbym jeszcze podziękować Orzechowi i Izie za pyszną kolację oraz Agacie i Sebastianowi za wieczorny koncert. Przepraszam jednocześnie, że nie wytrzymałem do końca, bo naprawdę fajnie graliście.

Michał Szafraniec

W czwartek czwartego stycznia mój dobry znajomy – Krzysiek – poinformował mnie, że następnego dnia jedzie na dwudziestoczterogodzinny marsz górski organizowany w ramach kursu na przewodnika beskidzkiego. Jeszcze tydzień wcześniej miałem zamiar jechać na narty, jako że stęskniłem się za mrozem szczypiącym w policzki i pędem towarzyszącym ześlizgiwaniu się z ośnieżonego szczytu. Niestety, pogoda nie dopisała, przerwa świąteczna minęła i trzeci rok z rzędu musiałem pogodzić się z myślą, że z nart znowu nic mi nie wyszło... Aż tu nagle perspektywa wyjazdu w góry pojawiła się na horyzoncie nadziei. Zapytałem więc Krzyśka, czy mógłbym się podpiąć pod wyprawę jako osoba towarzysząca. Brak było przeciwwskazań. Co prawda nie powiedział, dokąd dokładnie jedziemy, ale mnie to absolutnie nie interesowało – liczył się fakt spontanicznej wycieczki.

W piątek, punkt 19.30, byliśmy spakowani i gotowi do drogi na dworcu w Katowicach. Wtedy jeszcze nie wiedziałem, że zarówno organizacja, jak i cały wyjazd mają charakter studencki, dlatego słysząc o kursie na przewodnika górskiego, wyobrażałem sobie instruktorów jako co najmniej trzydziestoparoletnich, zaprawionych w boju trepach, którzy będą na mnie spoglądać jak na niedzielnego amatora pieszych wycieczek, który zapewne odpadnie po pierwszych czterech godzinach drogi po zmroku. Tak więc miłym zaskoczeniem dla mnie było znalezienie naszych opiekunów jako małżeństwa niewiele starszego ode mnie. Już po krótkiej rozmowie zapoznawczej zdałem sobie sprawę, że wszystkie moje wyobrażenia były jak najbardziej mylne.

Po dwugodzinnej jeździe pociągiem wysiedliśmy ośmioosobową ekipą na mroźnym peronie w Węgierskiej Górce. Otoczył nas mrok, wszyscy więc wyciągnęli latarki. Wtedy właśnie zdałem sobie sprawę, że będę maszerował całkowicie na czuja, bo moja czołówka spoczywała od dawna nietknięta w szufladzie w domu. Ku mojej uciesze, jako że od razu po opuszczeniu pociągu zrobiło mi się zimno, marsz rozpoczął się bez zwłoki. W myśl kursu wybrano pierwszego aspirującego na Harnasia, który w ramach ćwiczenia objął prowadzenie, przedstawił się i omówił drogę do pierwszego wskazanego przez przewodników punktu wycieczki. Założyliśmy plecaki, poprawiliśmy sprzączki i ruszyliśmy.

W tym miejscu zaprzestanę dalszego szczegółowego opisu drogi, jako że jestem niemal kompletnie zielony (jeszcze!) w kwestii nazewnictwa pomniejszych szczytów Beskidu Śląskiego i nie pamiętam dokładnie, gdzie i kiedy się wdrapaliśmy. Byłem też zbyt zafascynowany nocną wędrówką, potem zaś zbyt zmęczony drogą, żeby przywiązywać wagę do topograficznej nomenklatury. Opiszę więc pokrótce, jak nasza droga wyglądała z mojej, raczej amatorskiej, perspektywy.

Zdobycie Baraniej Góry mogę spokojnie przyrównać do zdobywania Himalajów. Dlaczego? Okalała mnie zewsząd ciemna noc. Śnieg, początkowo roztopiony i spływający wartkim strumykiem wzdłuż szlaku, niespodziewanie zaczął sięgać kostek, a następnie kolan, i dawał się we znaki z każdym następnym metrem prowadzącym na szczyt. Oczywiście jako laik zimowych wycieczek górskich nigdy nawet nie pomyślałem o zaopatrzeniu się w coś takiego jak stuptuty, więc biały puch wesoło wpadał mi cholewkami do butów, mocząc skarpety i stopy. Przyznaję, że wtedy w mojej głowie zrodziła się obawa przed przeziębieniem albo którąś formą zapalenia dróg oddechowych, ale psychika wytrenowana podczas deszczowych marszrut po Bieszczadach podpowiadała mi wyraźnie, że pozostając w ruchu, będę generował ciepło, które zabezpieczy mnie przed chorobami, a później być może nawet osuszy wnętrze obuwia, oczywiście pod warunkiem zamiany skarpet na suche (tych na szczęście miałem aż trzy zapasowe pary). Sprawy jednak nie ułatwiał mrożący krew i kości wiatr, którego od pewnej wysokości nie ograniczały już ani drzewa, ani pagórkowate wzniesienia. Do tego należy doliczyć mlecznoszarą mgłę, która utrudniała nam nawigację aż do świtu. W pewnym momencie światła latarek zaczęły przeszkadzać w orientacji, ponieważ rozpraszały się i odbijały od wszędobylskiej zawieruchy. Osobiście jednak nie miałem w tej kwestii wiele do gadania, jako że sam kroczyłem w blasku czołówek zmieniających się co jakiś czas przewodników. Bez nich dawno zgubiłbym świeżo wydeptane ślady i zapadłbym się w puchu po pas. Wszystkie te niesprzyjające warunki atmosferyczne budziły we mnie żywe skojarzenia z Władcą Pierścieni Tolkiena, a dokładniej z pierwszym tomem lub filmową częścią trylogii, w momencie, w którym drużyna próbowała pokonać przełęcz Karadhras. Nie żartuję!

Szczyt jednak zdobyliśmy. Po krótkiej przerwie pod wieżą widokową ruszyliśmy dalej w nieujawnionym nam ciągle kierunku. Mnie z góry szło się łatwiej, choć faktem jest, że organizm lepiej rozgrzewa się w trakcie wspinania i wzmożonego przez to wysiłku fizycznego. Przed świtem zdążyliśmy lekko pomylić drogę, zmienić skarpety i najeść się słodkości. Odżyłem całkowicie, kiedy blask wschodzącego słońca rozświetlił wreszcie krajobraz roztaczającej się przed nami w dolinie Kamesznicy i otaczających ją masywów. Robiłem zdjęcia jak oszalały.

Trudno mi powiedzieć, w jaki sposób czas zaczął mi wtedy upływać szybciej, jednak odnosiłem wrażenie, jakby pobieżnie zjedzone śniadanie, przystanek na szkolenie z nazewnictwa otaczających szczytów nad starym kamieniołomem i przerwa na ciepły posiłek w góralskiej oberży trwały około dwóch godzin. Może to zasługa pewnych dzikich towarzyszy, którzy od momentu opuszczenia przez nas zalesionego stoku pojawiali się dosłownie znikąd i towarzyszyli nam wiernie na zmianę aż do późnego popołudnia. Mam tu na myśli psy, które musiały czuć w naszych plecakach aż nazbyt wyraźnie obecność najróżniejszych smakołyków. Po obiedzie jeden odprowadził nas nawet około dziesięciu kilometrów na pociąg, którym zmierzaliśmy do następnego punktu wycieczki – peronu w Soli.

Stamtąd ruszyliśmy na szlak papieski biegnący przez siedmiusetmetrowe wzniesienia rozsiane nad Rycerką. Dzień minął w marszu w oszałamiająco szybkim tempie i znów się ściemniało. Dla mnie był to moment największej próby, ponieważ organizm domagał się spania po przespacerowaniu niemal całej nocy i absolutnie całego dnia. Podporą były mi wtedy zapie-

cd. str. 3

rające dech widoki, w tym zachodzącego za górami słońca. Natomiast jak już zrobiło się całkowicie ciemno, żyłem głównie myślami o ciepłym jedzeniu i materacu czekającym na mnie nie wiadomo gdzie. Powtarzałem sobie, że skoro przeszliśmy dwadzieścia godzin, to ostatnie cztery będą dla mnie wyłącznie formalnością.

fot. Krzysztof Leja

Jak bardzo się myliłem! Po raz pierwszy w życiu przekonałem się, czym tak naprawdę są halucynacje wynikające ze zmęczenia i niewyspania (była to już dla mnie druga doba bez snu, jako że dzień wcześniej wstawałem do pracy o czwartej nad ranem). Pozbawiony światła widziałem głównie sylwetki towarzyszy podróży, które przybierały bardzo oryginalne kształty. Zamiast kolegi zdawało mi się, że widzę wielkiego człowieka we fraku wieczorowym, nagle z jego lewej strony wyskoczyło stado ciemnych wiewiórek i zniknęło mu gdzieś pod nogami. Wtedy zorientowałem się, że prawie nadepnąłem na węża, który tak naprawdę był zwykłym patykiem leżącym spokojnie na śniegu. Jak zamykałem oczy podczas postojów na zorientowanie się w terenie, było tylko gorzej. Sytuacji nie poprawiało miarowe stukanie butów, ciągle powtarzający się chrzęst śniegu pod stopami i co poniektórzy przypominający, ile jeszcze zostało nam czasu do końca całej wyprawy. Stwierdziłem, że muszę coś z tym zrobić, bo inaczej albo zrobię się niewyobrażalnie wręcz marudny, albo położę się byle gdzie i po prostu zamknę oczy, zasypiając i zapominając o bożym świecie. Tu z pomocą przyszła mi muzyka. Co prawda wziąłem słuchawki z myślą o długiej jeździe pociągiem, ale moje pchełki okazały się nieocenioną pomocą w chwili kryzysu. Przyznaję, że odciąłem się na te ostatnie godziny od reszty ekipy, ale rockowe brzmienie połączone z agresywną, szybką perkusją dosłownie naładowały mnie energią z powietrza i rozgoniły sen.

Serce zaczęło mi szybciej bić do punkowego rytmu i zapomniałem o zmęczeniu. Wyszedłem na prowadzenie, żeby skorzystać jak najlepiej ze światła latarek towarzyszy. Teraz zaczął dawać się we znaki skuty lodem asfalt. Niby gdzieś w głębi odczuwałem ulgę, że dotarliśmy ostatecznie do cywilizacji, co podświadomie zwiastowało kres wysiłku i bezsenności, ale jak na złość musiałem wytężyć się jeszcze bardziej i skupić na spokojnym i przemyślanym stawianiu kroków. I tak nie uchroniło mnie to przed poślizgnięciem się i upadkiem na tyłek... Ostatecznie wszyscy ślizgaliśmy się do samego końca, tylko łyżew brakowało.

W pewnym momencie szturchnął mnie mój kolega i zapytał, czy wszystko u mnie w porządku. Zdałem sobie wtedy sprawę, że milczałem jak zaklęty od prawie dwóch godzin, a ze zmęczenia zapomniałem też kogokolwiek poinformować, że odcinam się od świata i uciekam w muzykę. Po zdjęciu słuchawek poczułem się trochę jak ryba wyciągnięta z wody, ale naładowana energia we mnie pozostała i mogłem już iść dalej bez audiowspomagania. Być może bym tak dalej szedł, ale wtedy właśnie przyjechała po nas odsiecz w postaci czerwonej terenówki. Marsz dobiegł końca.

Dojechaliśmy do schroniska. Tam po zdjęciu butów naprawdę poczułem, że żyję, i nie chodzi mi tylko o przyjemny zapaszek przedostatniej pary skarpet – obydwie przemoczone stopy zdawały się wielkimi pęcherzami, przez co chodziłem jak inwalida wojenny; ależ to musiało komicznie wyglądać!

Ostatnie, co pamiętam, to to, że zjadłem jedną z najlepszych kolacji w życiu i oparłem głowę o blat stołu. Tak, przysnąłem. Marzyłem o łóżku, ale po ściągnięciu obuwia obiecałem sobie, że umycie nóg będzie moim priorytetem przed oddaniem się w ramiona Morfeusza. Prawie godzinę czekałem na wolny prysznic, ustępując damom pierwszeństwa, jak na dżentelmena przystało. Prawie całą drugą godzinę delektowałem się wrzątkiem tryskającym ze słuchawki. Później, rozmieszczając przy kaloryferze swój przemoczony dobytek, dziwiłem się niektórym towarzyszom, skąd mają jeszcze siłę na zabawę, picie, rozmowę i ogółem na siedzenie. Ja postanowiłem spełnić swoje największe marzenie na tamten moment, czyli wbić się w śpiwór i zasnąć, bo tak zmęczony dawno nie byłem.

Tego wieczora któraś z dziewczyn zapytała mnie, kiedy zapisuję się na kurs [To byłam ja! – przyp. A.L.]. Wtedy myślałem, że chyba bym kompletnie zwariował, gdybym dał się namówić po raz drugi na coś takiego. Teraz nie mogę się doczekać rozpoczęcia szkolenia i następnego wyjazdu. Dlaczego? Z wielu powodów. Od zawsze uwielbiam pokonywać trudności. Chodzenie na świeżym powietrzu jest bardzo zdrowe i doskonale wpływa na kondycję. Po drodze doświadczyliśmy po równo przejawów każdej z pór roku. Naoglądałem się wspaniałych widoków i napstrykałem kilka naprawdę udanych zdjęć, że tak nieskromnie przyznam. Przemyślałem sobie wiele, bo mózg był znakomicie dotleniony i miałem mnóstwo czasu na przeanalizowanie swojego życia. Świetnie spędziłem dzień (choć wydaje się, że trwał cały weekend) za naprawdę niewielkie pieniądze – koszta to bilet na pociąg w tę i z powrotem oraz jedzenie, które i tak musiałbym kupić i zjeść siedząc w domu (swoją drogą półtoragodzinny seans w kinie dla dwóch osób i duży popcorn z dwoma średnimi napojami kosztują nieco więcej, a ileż mniej przyjemności i korzyści z takiego bezczynnego siedzenia). Oderwałem się od życia codziennego i przypomniałem sobie, że przyjemnie spędzony czas wcale nie musi kosztować fortunę. Co więcej, po takim wysiłku człowiek zaczyna doceniać wygody dwudziestego pierwszego wieku, które ma na co dzień, czyli na przykład samochód i zasięg w telefonie, ale też takie drobne przyjemności jak ciepłe, wygodne łóżko i prysznic, nawet zwykła kolacja lepiej smakuje. Jednak za największy atut takiej wycieczki uznaję poznanie wspaniałych ludzi, z którymi można to wszystko dzielić. Absolutnie nie uznaję się za zawodowego górołaza, ale trochę już w życiu pochodziłem, z wieloma różnymi ekipami w najrozmaitszych terenach, i była to pierwsza grupa, w której nikt nie narzekał i nie psuł całej wyprawy zbędnym marudzeniem od początku do końca. Właśnie dlatego chcę stać się w przyszłości częścią tej zacnej, harnasiowej kompanii.

Anna Latusek, Darek Paździorek,
Róża Myrcik, Krzysztof Leja
Michał Szafraniec

SZKOLENIE LAWINOWE

W Mikołajki pojawiła się informacja o szkoleniu lawinowym organizowanym przez Centralny Ośrodek Turystyki Górskiej PTTK. Szkolenie miało odbyć się w weekend 8–10.12 lub 15–17.12 w schronisku w Dolinie Chochołowskiej. Na drugi termin już nie było miejsc, zatem mogłam się załapać tylko na pierwszy. Niestety miałam już na niego plany i różne zobowiązania… A jednocześnie parę dni wcześniej byłam na Krakowskim Festiwalu Górskim, gdzie moje serduszko zostało zainspirowane i zapalone, by się rozwijać, by działać. I tu nagle taka okazja! Taki prezent na Mikołajki! Parę minut później byłam już zapisana. Pozmieniałam plany, przełożyłam zobowiązania i z uśmiechem na twarzy wyczekiwałam weekendu. Okazało się, że zapisała się również Gosia Hołomek i Staszek Wierzchowski. W tym składzie wyruszyliśmy w piątkowe popołudnie bryką Staszka w stronę Tatr. Droga szybko zleciała. Po 19-tej byliśmy na parkingu na Siwej Polanie, a przed 21-szą w schronisku. Okazało się, że jesteśmy pierwsi i możemy wybrać sobie miejsca na nocleg. Następnego dnia o godz. 9 rozpoczęło się szkolenie w świetlicy schroniska. Każdy otrzymał ABC lawinowe, czyli detektor, sondę i łopatę. Następnie po krótkich ogłoszeniach organizacyjnych zostaliśmy podzieleni na 3 grupy. Każda była prowadzona przez ratownika TOPR: Sebastiana Kłosoka, Bartka Zwijacza Kozicę i Andrzeja Chroboka. Każdy z nich zapoznał swoją ekipę z ww. sprzętem. Po krótkich instrukcjach nastał czas na ćwiczenia w terenie. Nasza grupa ćwiczyła w okolicach kapliczki (tej, gdzie Janosik i Maryna się pobrali ;)). Pogoda była istnie zimowa – był mróz i sypał gęsty śnieg, który jednak nie zgasił naszego zapału. Zaczęliśmy od detektora. Nauczyliśmy się użytkować go we wszystkich trzech fazach poszukiwań i ćwiczyliśmy te umiejętności na różne sposoby. Podzieleni na małe podzespoły musieliśmy odnaleźć pozorantów (detektory), którzy zostali zasypani (ukryci przez Bartka). Później poznaliśmy różne techniki posługiwania się sondą. Sondowanie to dla mnie najtrudniejszy element. Wiele razy myślałam, że znalazłam cel, ale okazywało się, że to tylko zmrożony śnieg(!). Zastanawiałam się, czy można zasypanemu zrobić krzywdę ostrą sondą, ale podobno nigdy się nie zdarzył taki wypadek. Po sondzie przyszła kolej na… łopatę! Wydawałoby się, że łopatą każdy umie się posługiwać, a jednak okazało się, że sztuką jest robić to efektywnie. Na sam koniec zajęć w terenie ćwiczyliśmy cały cykl ratowania zasypanej osoby. Przed przerwą obiadową wszystkie grupy spotkały się przed schroniskiem, gdzie mogliśmy zobaczyć lawinowy plecak Bartka, jednego z ratowników. Mia-

cd. str. 4

łam przyjemność go założyć i spróbować „odpalić”. Plecak ma system ABS, czyli balon, który po pociągnięciu wyzwalacza napełnia się gazem i utrzymuje człowieka na powierzchni sunącego śniegu. Super sprawa! Dodatkowa broń w walce z lawiną. Nastał czas na obiad i krótką sjestę. Po przerwie czekał nas wykład. Sebastian przekazał nam wszystkie najważniejsze informacje związane z zagrożeniami zimowymi w górach. Temat długi, szeroki i głęboki, a zarazem bardzo interesujący! Po wykładzie była możliwość zagrania w lawinowe karty. Gra super uczy, jak oceniać ryzyko lawinowe i je redukować metodą Muntera.

W niedzielę o godzinie 9 w nowych grupkach wyruszyliśmy w kierunku Grzesia. Po drodze ćwiczyliśmy zagadnienia z poprzedniego dnia oraz poznawaliśmy nowe umiejętności, np. jak policzyć nachylenie stoku za pomocą kijków, jak zbadać strukturę pokrywy śnieżnej i jej stabilność itp. Tymczasem pogoda, jak to w górach, zaczęła się zmieniać. Im bardziej nabieraliśmy wysokości, tym bardziej zaczynało wiać. Zgodnie z prognozami zaczynał się halny. Na Grzesiu wiało niemiłosiernie. Zrobiliśmy krótką panoramę, pamiątkowe zdjęcie i wracaliśmy. Kiedy schodziliśmy, Sebastian nagle nas zawołał i powiedział, że otrzymał informację, że poniżej nas zeszła lawina. Prawdopodobnie dwie osoby zostały zasypane. Musimy im pomóc! Wszyscy zaczęliśmy biec w dół. Kiedy dotarliśmy do lawiny, wyciągnęliśmy sprzęt i zaczęliśmy poszukiwania. Cała akcja uświadomiła nam, jak cenny jest czas. Statystyka mówi, że aż 90% porwanych przez śnieg ma szansę przeżycia, jeśli pomoc dotrze do nich w 15 minut. W Tatrach ratownicy mogą zjawić się na lawinisku najwcześniej po ok. 30 minutach (jeśli zostaną błyskawicznie powiadomieni o wypadku, a pogoda pozwala na lot helikopterem). Wtedy jednak szansa na uratowanie zasypanego spada do zaledwie 40%. Dlatego, gdy zimą wychodzimy na wyprawę w teren wysokogórski, musimy liczyć przede wszystkim na siebie. Potencjalnie udało nam się uratować poszkodowanych. Niemniej w takich chwilach łatwo o błahe i niepotrzebne błędy, które popełniliśmy. Dlatego sama wiedza nie wystarczy, trzeba przede wszystkim ćwiczyć i ćwiczyć. To da nam umiejętności, które są tak ważne. Z detektorem, sondą i łopatą wyszkolony turysta czy narciarz jest w stanie odnaleźć zasypanego w 15 minut. Jeżeli zabraknie jednego lub więcej z ww. elementów, czas poszukiwania zaczyna bardzo wzrastać i szanse drastycznie maleją. Dlatego dbajmy o bezpieczeństwo swoje i naszych kompanów wypraw. Dokształcajmy się, ćwiczmy i zabierajmy ze sobą potrzebny sprzęt w góry.

Warto było być na tym szkoleniu. Polecam wszystkim!

Ela Cieślar

SPACER POŚWIĄTECZNY

Kilka lat temu ktoś (prawdopodobnie Sławek Nowicki) rzucił propozycję poświątecznego wyjazdu mającego na celu spalenie nadmiarów kalorii.

W wycieczkach uczestniczyły zwykle kręgi zbliżone do Mamutów, a jako że – z drobnymi przerwami – odbyło się już kilka takich wyjazdów, można przyjąć, że powstała spontanicznie nowa świecka tradycja.

W tym roku zalążki imprezy powstały na Wigilii Kołowej w Mrowisku. A ponieważ na sobotę 30.12 zapowiadało się całkiem niezłe okno pogodowe, więc na starcie wycieczki w Brennej stawiło się wyjątkowo dużo uczestników – 18 osób i pies.

Pogoda faktycznie zrobiła się piękna – słońce, lekki mróz, zaśnieżone góry. Po spotkaniu w Górkach Wielkich postanowiliśmy rozstawić auta. W Górkach miało zostać auto Rakety i Rafiego, pozostałymi czterema mieliśmy podjechać do Brennej.

Paweł (z Watry) i Mareczek wyjechali jako pierwsi, a my już ruszaliśmy, gdy okazało się, że nowiutkie auto Sławka (niektórzy złośliwie twierdzą, że Sławek zmienił tylko kolor auta) odmówiło posłuszeństwa i nie chciało zapalić. Zadzwoniliśmy szybko do Rakety i Pawła, bo inaczej plan przerzucenia „siły żywej” do Brennej stanąłby pod znakiem zapytania. Na szczęście zaraz po powrocie auta Pawła oraz po wyjściu i wejściu ekipy Sławka z i do samochodu pojazd chyba „zresetował się” i zapalił.

Z centrum Brennej ruszyliśmy w dobrych humorach czarnym, a potem zielonym szlakiem w stronę Błatniej. Zanim dotarliśmy do schroniska odbyła się plenerowa impreza urodzinowa niżej podpisanego. Strzelił szampan i zostało wydane ciasto.

A niedługo potem dotarliśmy do zatłoczonego schroniska, gdzie z trudem upolowaliśmy kilka miejsc przy stolikach.

Po posileniu się ruszyliśmy w dalszą drogę, czerwonym szlakiem biegnącym głównym grzbietem na pn.– zach. Na błękitne dotąd niebo napłynęły chmury, przez co widoki stały się jeszcze bardziej fotogeniczne. Przy próbie rozgryzania panoramki stwierdziliśmy, że w zasadzie wartałoby powołać „Przewodnicki Uniwersytet Trzeciego Wieku”, czyli (PUTW). Ola jako przedstawicielka młodszego pokolenia Harnasi zadeklarowała natomiast chęć utworzenia Młodzieżówki tej organizacji. Pod koniec wycieczki czekało nas jeszcze nie lada wyzwanie w postaci pokonania w zejściu północno-zachodniej ściany Zebrzydki.

Po dotarciu do Górek Raketa z Jolą i Markiem pojechali po samochody (Paweł i Kasia G. musieli wracać wcześniej), a reszta ekipy wstąpiła do restauracji „Góreckiej” gdzie uzupełniliśmy (w ramach PUTW) wiedzę z etnografii dowiadując się, co to są „wyrzoski”.

I tak dobiegł końca nasz poświąteczno-przedsylwestrowy wyjazd w góry, w którym uczestniczyli: Rafi S. z synami, Raketa i Lidka, Sławek i Jola Nowiccy z synem Michałem, Paweł i Kasia (znajomi Watrowcy), Paskuda z Tymkiem, Marek i Gosia Franke, Jacek, Jola i Ola Ginter.

Redakcja

TO BYŁO

✔ 16.01 odbyły się oficjalne Obchody 50-lecia SKPG „Harnasie” w Gliwicach, w Mrowisku.
✔ 18.01 Paskudne Śpiewanki Meteorologiczne.
✔ 5–7.01 przejście kondycyjne kursu prowadzone przez Anię Latusek i Metzgera.
✔ 25.01 (czwartek) szkolenie/prelekcja „Religie Karpat” poprowadzona przez Bartosza Piekarusia z SKPB Katowice.

TO BĘDZIE

❋ 6.02 zebranie „knajpowe” w Gliwickim „Hollcenterr” przy ul. Zubrzyckiego 18. Spotykamy się o 18:00.
❋ 18.02 Harnasie w Namaste. Spotykamy się w Katowicach w Klubie podróżników Namaste o godz. 18:30, a o 19:00 rozpocznie się sjladowisko prowadzone przez Aleksandrę Ginter i Martę Stachurską.
❋ 24–25.02 Blachowanie w PTSM Rozdziele.
❋ 6.03 godz. 18:00 „Rowerem po Śląsku” prelekcja Jacka Gintera o propozycjach rowerowych wycieczek po okolicy. Gliwice, CKS Mrowisko.
❋ 25.03 – zebranie z cyklu Harnasie w Namaste. Spotykamy się o 18:30, a o 19:00 slajdowisko poprowadzi Michał Kulanek.

BLACHOWANIE 2018

Z ogromną radością chcielibyśmy zaprosić wszystkich Harnasi, Kursantów oraz osoby zaprzyjaźnione z Kołem na Blachowanie Kursu Przewodnickiego 2016/2017, które odbędzie się tradycyjnie w ostatni weekend lutego, tj. 24–25.02.2018 w Szkolnym Schronisku Młodzieżowym w Rozdzielu w Beskidzie Wyspowym.

Gosia Hołomek, Darek Wisełka
Maks Kuśka,Dariusz Mazur
Mariusz Mazur